

Konno po Andach

U podnóża Andów, w Argentynie, leży miasto Mendoza. Dwie godziny jazdy od miasta, za pierwszym łańcuchem gór, na około 2.000 m n.p.m., położona jest Estancia „Casa de Piedra”. Na farmę jadę w towarzystwie Emilia – syna właściciela i Chobiego – przewodnika z firmy turystycznej. Docieramy późnym popołudniem.

Pierwsze wrażenie jest piorunujące. Po wyjściu z samochodu ogrania mnie dojmujący sierpniowy chłód. Wiejący wiatr walczy o wpływy z ledwie grzejącym, zimowym słońcem. Dom, to licząca sobie 140 lat, kamienna chata, z gospodarczymi przyległościami. Choć wielokrotnie poprawiana, wygląda jak rozpadający się barak. Szybko wypakowujemy bagaże i godzinę później jedziemy konno wokół zabudowań farmy. Konie idą stromą, kamienistą dróżką, po której, wydaje mi się, że nigdy nie powinny przejść. Mój rumak na imię ma Picasso i jest „pomalowany” jednolicie – na czarno. O dziwo jestem na czele i mam wybierać ścieżkę, którą ledwo widzę. Próbuję kontrolować konia, ale szybko daję spokój. Picasso znacznie lepiej radzi sobie samodzielnie. Pilnuję jedynie, aby nie zbaczał z głównego kierunku. Konie pewnie stąpają po kamieniach, a siodła nie wykazują tendencji do zjeżdżania z ich grzbietów. Wracamy, gdy już zmierzcha.

Siodłanie było zaskoczeniem. Siodło – nazwijmy je właściwym, zwane tutaj recado – oplatanie jest wiązaniem popręgiem. Pod siodłem jest trójwarstwowy czaprak, składający się z gąbki, futra o wyglądzie baranicy i skóry. Na siodło kładzie się kolejne warstwy futra i skóry, a to wszystko oplecione jest drugim wiązaniem popręgiem.

Siadam przy kominku i mimo buzującego ognia, trzęsę się z zimna. Temperatura w domu +12°C, a na dworze około +2°C. Chobi mnie pociesza „jutro będzie zimniej”. Potem już tylko pijemy wino, rozmawiamy, opowiadamy dowcipy, Argentyńczycy grają na gitarze i nucą. Robi się ciepło. Idę do mojego pokoju – wszak zamawiałem nocleg w pokoju jednoosobowym. Lodownia. Piecyk gazowy na razie niewiele pomaga. Może będzie cieplej ... kiedyś. Wracam do salonu, robię zdjęcia, przygotowujemy asado, czyli wołowinę z rusztu i rozmawiamy, a czasu mamy dużo, bo wołowina długo się piecze i pysznie smakuje. Rozmawiamy o biznesie, podatkach, biurokracji i korupcji. Chobi ma destylarnię alkoholi, Emilio pomaga ojcu. Smakowała im żołądkowa gorzka. Chobi zaskoczył mnie polskim śladem. Urodził się w 1978 r. W Argentynie był wówczas bardzo sławny pewien Polak. Chobi, czyli Sobi, czyli Sobiesław Zasada. Chobi bezbłędnie wymawia to imię i nazwisko. Ojciec chciał ochrzcić go Sobiesławem, ale tutejszy spis imion tego nie przewidywał. Najbliżej było do Sebastiana, jest więc Juan Sebastian zwany Chobi.

Pytam o farmę. Prawie ruina i mróz w każdym kącie. Po co takie coś prowadzić – dla turystów? Owszem, odpowiada Emilio, ale nie tylko. Była tu np. ekipa belgijskiej TV i robiła reality show. Karawana liczyła 17 koni i 30 mułów, ciągnęli przez góry generatory, kamery, reflektory i tuziny ludzi. Skąd te konie i muły? Widziałem raptem 8 koni, a po drodze kilka wałęsających się krów. Farma zajmuje jednak obszar 16 tysięcy hektarów, stado zaś liczy sobie 300 krów, 50 koni i około 100 kóz. Rocznie sprzedaje się 80 - 100 krów i cieląt. Mając 16 tysięcy hektarów kamienistych gór, jest gdzie ukryć 450 zwierząt. Pracuje przy tym dwóch gaucho.

Po północy koniec pogawędek, idę do siebie. Przebieram się. Zmrożone nogawki mojego dresu nie zachęcają do snu. Reszta garderoby o zbliżonej temperaturze. W końcu zapinam się w śpiworze. Moi sympatyczni opiekunowie śpią już w sąsiednim pokoju od godziny i tylko ja, zmarznięty, słucham wiatru zastanawiając się, jakich to mądrych mam znajomych, którzy odmówili udziału w tej wyprawie. No, ale i ja nie zgłupiałem do reszty. Plany były wszak jeszcze odważniejsze. Noclegi w górach, pod namiotem. W drodze

powrotnej pewnie nie byłaby mi potrzebna nawet cynowa trumna i tak nie rozmarzłbym w czasie siedemnastu godzin lotu do Warszawy.

Budzę się samoczynnie, o dziwo jest ciepło, ale niestety tylko w śpiworze. W łazience można mięso mrozić. Gorącej wody brak. Mycie kończy się na rękach, zębach i odświeżeniu twarzy.

Na śniadanie dwie filiżanki gorącej herbaty, bułeczka z dżemem i druga z dulce de leche – lokalny specjał oparty na karmelu i mleku. Nadal nie mogę pozbyć się uczucia zimna. Mam na sobie niemal całą walizkę ciuchów. Siodłamy konie. Nakładanie kolejnych warstw siodła wymaga czasu. Dociągamy popręgi i ruszamy.

Konie idą monotonnym stępem. Jest zimno. Czyżby zimno miało stać się moją obsesją przez najbliższe dni?! Wspinamy się coraz wyżej. Zaczyna coraz mocniej wiać i robi się jeszcze zimniej. Maszerujemy stromo pod górę. Noga za nogą. Kamień za kamieniem. Wdrapujemy się na 2.860 m. n.p.m. Próbuję robić zdjęcia. Ręce zgrabiące, w rękawicach są mało sprawne, nie będzie wielu zdjęć. Osiągamy szczyt 3.113 m. n.p.m. wg mego GPS. Dookoła śnieg. Już od jakiegoś czasu wspinaliśmy się ośnieżonymi ścieżkami, ale konie pewnie stąpają. Natrafiamy na zamrożoną padlinę krowy, to wynik łowów pумы.

Dobra wiadomość, jak tylko zejdziemy niżej i znajdziemy miejsce osłonięte od wiatru to zjemy lunch. Zejście zajęło nam blisko godzinę. Zsiadamy, popuszczamy popręgi i konie zostawiamy luzem, z wędzidłami w pyskach. Ognisko z wyschniętego krzaka mile grzeje. Tutejsze sandwicze, składające się z miękkiego wilgotnego chleba, szynki i żółtego sera smakują paskudnie. Pomarańcze, uzupełniające menu, są natomiast rarytasem. Robi się ciepło, a nawet za ciepło jak na nasze wielowarstwowe stroje. Dochodzi piętnasta. Zbieramy się. Kaczila, nasz gaucho – przewodnik, odkrywa świeże ślady pумы. Podążamy jej tropem, potem Kaczila zostawia nas i pieszo wchodzi pomiędzy wzgórza. Echem odbija się strzał. Po chwili gaucho wraca z ... pustymi rękoma.

Słońce świeci, nie ma wiatru, wreszcie jest ciepło. Mój Picasso chyba czuje, że zmierzamy już w stronę domu. Rusza żwawym stępem. Schodzimy stromym żlebem. Trudny stok nachylony ponad 45°. Pozwalają mi prowadzić, a ja po prostu staram się nie przeszkadzać mojemu wałachowi. Jesteśmy w dolinie. Jest kamienista. Picasso przyśpiesza do klusa. Nie wstrzymuję go. Niesie miętko, nie mam trudności z klusem ćwiczebnym. Rozpinam płaszcz, kamizelkę i wciąż jest za gorąco. Zimno wyparowało. Zbliżyliśmy się do estanci, pogalopowałbym. Odwracam się, Emilio zachęca po hiszpańsku „galope!” Oczywiście – i ruszamy z kopyta. Picasso przyśpiesza i przyśpiesza, a ja jeszcze go popędzam. Chyba zwariowałem. Bez toczka czy kasku, w wełnianej czapce, pędzę tempem około 550 po usuwających się kamieniach, reszta tuż za mną, więc nie odpuszczam. W stylu podpatrzonym na westernach, okładam Picassa końcówkami wodzy i jeszcze przyśpieszamy. Wpadamy na podwórze estanci. Z hamowaniem nie ma problemów. Koń posłusznie staje. Reaguje na dosiad i głos, o łydkach można zapomnieć. Przez 5-6 warstw skór efekt jest mizerny. Konie rozsiodłane idą od razu do wodopoju, nikt ich nie zatrzymuje. Przypominam sobie moje poranne pytanie o czyszczenie koni. Emilio dał mi metalowe, zardzewiałe zgrzebło, bez rączki, a sam usiłował coś wyczyścić końcówką wodzy. O czyszczeniu kopyt już im nie wspominałem.

Słońce nadal grzeje, siadam na werandzie i robię zapiski. Interesująca była wczorajsza rozmowa o cenach koni. Czteryście peso za konia. Peso jest nieco więcej warte niż złotówka, więc to trochę ponad czterysta złotych. Niezbyt drogo. U nas odpowiednik Picassa kosztowałby trzy tysiące. Na pytanie o konie sportowe, np. przeciętne do polo, podają cenę cztery tysiące peso. Ja dopisałbym jedno zero. Pamiętam, jak zsuwali się po stromym zboczku, a Picasso jechał na tylnych okutych kopytach niczym narciarz, wykonując co pewien czas sliding stop, przodem tylko się podpierał. No przecież najpodlejsze narty są u nas droższe od tego konia i do tego pod górę nie chcą same wchodzić. Po powrocie obejrzałem

nogi Picassa, żadnych otarć, pęknięć, czy utraconych podków, a przecież na tej drodze nie było miejsca podobnego do ... drogi.

Chobi rozpala w kominku, Emilio rąbie drzewo. Pytam o Picassa, jego wiek i rasę. Dwanaście lat, rasa Mechtiso, czyli mieszaniec. To mieszanica rasy Criollo z ..., no właśnie nie wiadomo z czym. Papiery, licencja etc. Nie ma potrzeby, koń jako roczniak jest palony na zadzie, na lewym boku, piętnem właściciela. Przy sprzedaży, powyżej starego piętna, stawia się do góry nogami piętno sprzedającego, a obok pali się znak następnego właściciela. Właściciel sam prowadzi rejestr swojego inwentarza. Weterynarz odwiedza farmę, gdy jest potrzebny. Na co dzień, z drobnymi problemami i z odrobaczaniem, gaucho radzą sobie sami. Szczepień nie robią, o ile koń nie opuszcza farmy lub nie ma ostrzeżeń o bardziej bezpośrednich zagrożeniach.

Tym razem na kolację jest kurczak pieczony na ruszcie, więc jednak mają coś innego niż wołowina.

Rozmawiamy na temat tutejszej hodowli. Jest niemal bezobsługowa. Zwierzęta same się rozmnażają, same żywią i walczą o przetrwanie. Okoliczni farmerzy umawiają się dwa razy do roku, na ten sam termin (wiosną i jesienią). Dokonują spędu, liczenia i przeglądu stad oraz palenia młodych. Przekazują sobie nawzajem sztuki, które samorzutnie zmieniły teren żerowania. Nikt nie grodzi kilkunastu tysięcy hektarów. O przynależności zwierzęcia stanowi jego palenie lub pilnowanie się znaczonej matki. Najtrudniej jest im rozmnażać konie, ponieważ pумы uwielbiają źrebięta. Nie ma też możliwości trzymania matek bliżej farmy ze względu na brak pokarmu. Na całej farmie jest około dziesięciu koni, przygotowanych do jazdy. Reszta żyje półdziko. Są siedmioletnie konie, które nigdy nie były siodlane. Jeśli trzeba wymienić konie chodzące pod siodłem, gaucho łapią jakieś stadko i w ciągu dwóch tygodni przygotowują je do jazdy. Niektóre bywają oporne, ale znacząca większość nie robi problemów.

Kolejny dzień. Zimno i wietrznie, niebo zachmurzone, więc popołudniowe słońce nas nie rozgrzeje. Włeczemy się noga za nogą kolejną, piękną doliną. Zastanawiam się głośno, po co tyle skór na siodłach. Wyjaśniają mi: gaucho zawsze wozi ze sobą łóżko. Śpi pod gołym niebem, rozkładając skóry i futra na ziemi, pod głowę kładzie siodło – to właściwe, z wierzchu przykrywa się futrami i wodoodporną derką – my też mamy takie ceraty o wymiarach 2,5 na 2 m, spoczywające spokojnie w jukach.

Wspinamy się i zbliżamy do przełęczy. Trzy towarzyszące nam psy wypłaszają królika, który klucząc próbuje uratować życie. Przebiegłe chude kundły, z nastroszoną sierścią, na długich nogach, lekkie w biegu, z ujadaniem znikają za wzgórzem. Zobaczmy, kto wygra. Wracają bez zakrwawionych pysków, resztek futra i oblizywania się, więc chyba królik wygrał kolejne życie.

Znów kilka wyschniętych szkieletów krów i cieląt. Zjeżdżamy w dolinę i kamienistym dnem wyschniętego potoku kierujemy się do krańców estanci. Po drodze widzimy stada krów pasących się na zboczach, ale my "polujemy" na konie. Na jednym stoku odnajdujemy poszukiwane stado 9 koni, i zaczyna się zabawa. Najpierw po ośnieżonych południowych stokach spędzamy je w dolinę. Potem ścieżką pędzimy je (oczywiście stępem) na następną górę. Robi się przeraźliwie zimno, wiatr gwizdże wśród kamieni. Odczyt z GPS 3.185 m n.p.m., a w linii prostej 8.630 m. do zabudowań Estancia de Piedro. Stoi tu trzymetrowy betonowy ostrosłup oznaczający granicę terenów tej farmy. Konie jakby wiedziały, że dalej nie wolno, potulnie skręcają na właściwą stronę wzgórze. Próbuję zaobserwować działanie gaucha i reakcje zwierząt. Zwierzęta luzem kłusują, czasami galopują. Gaucho galopem przecina im drogę. Ruszam za nim również galopem w poprzek zbocza. Picasso pewnie stawia nogi, nie potyka się. Prześladowuje mnie jednak wizja trzystumetrowego niekontrolowanego turlania się, po kamienistym zboczu. Stado zsuwa się, my, na swoich wierzchowcach za nim, oskrzydłując je. To ani stęp, ani kłus, po prostu zjazd. Poniżej

zaczynają się skały i pionowe urwiska. Konie jednak sprawnie hamują. Picasso posłusznie, na mój rozkaz, zmienia kierunek. Galopem wyprzedzam gaucha i blokuje drogę koniom próbującym wymykać się ku górze. Picasso jest dobrze wyedukowany. Nie tylko poprawnie się porusza, ale sam reaguje na ruch stada. Samodzielnie zmienia kierunek na równoległy do uciekiniera będącego po jego stronie i nie pozwala mu zawrócić. Po kilkunastu minutach wiem, jak i kiedy mam reagować, a kiedy robi to Picasso. Gaucho jest kilkadziesiąt metrów za mną i nie wtrąca się. W końcu konie są w dolinie. Półtorej godziny ciężkiej pracy za nami, teraz lunch – przełykam kanapki z serem, popijając je na wpół zamrożoną wodą z manierki.

Podciągamy popręgi i dalej w drogę. Stado odeszło kilkaset metrów w górę. Wspinamy się na stok i znowu spędzamy je w dolinę. Maszerujemy kolejnymi dolinami i po trzech godzinach docieramy do zabudowań estanci. Całodzienny marsz trwał osiem godzin. W tym czasie były 3 postoje, 2 po około 10 minut i jeden półgodzinny. Konie nie wyglądają na zmęczone. Żadnych oznak potu. Inna sprawa, że przy -18°C trudno się spocić. W trakcie marszu Picasso tylko raz miał przyśpieszony oddech. Za każdym razem, gdy stawałem, nawet nie schodząc z niego, zamykał oczy i przysypiał. Nie reagował na poklepywania i chyba oczekiwał, że skoro nie musi iść to zostawię go w spokoju. Nie był jednak niechętny do biegu. Wystarczyła delikatna zachęta np. uniesione końcówki wodzy i już zmieniał chód na wyższy.

Zapada mrok, wszystkie konie w koralu, Emilio wyjechał.

Kolejny dzień. Pobudka, za oknem śnieg, ale wreszcie nie wieje. Wczoraj przyjechał Pablo i opowiadał o swoich wyprawach na Aconcaguę. Prowadził kilka polskich grup. Ma swoje biuro turystyczne i kilka razy do roku wchodzi na ten szczyt. Ma też konie i to on jest głównym, lokalnym organizatorem mojej konnej włóczęgi.

Po domu rozchodzi się dotąd niespotykany zapach. Wśród zapasów przywiezionych wczoraj przez Pabla, są jajka – z przyjemnością zamieniam dulce de leche na jajecznicę.

Chyba mój organizm nieco przyzwyczał się do zimna. Czuję, że jest mi ciepło. Zobaczymy jednak, jak to będzie dzisiaj w górach. Pablo opowiadał o zdziwieniu turystów marznących często w namiotach, podczas gdy gaucho nocują w mroźnie noce na zewnątrz.

Ruszamy. Niebo zachmurzone, pod kopytami śnieg, nadal nie ma wiatru i dzięki temu, mimo około -5°C , wydaje się być dość ciepło. Wspinamy się. Usypiska, piargi, grzbiety, przełęcze i znowu doliny. Powyżej farmy zanurzamy się w chmury. Piękny szron na krzakach. Widoczność spada do 50 m. Po dwóch godzinach docieramy na szczyt, stoimy chwilę i schodzimy na drugą stronę. Mgła się rozstępuje, chmury powoli odpływają, pojawia się słońce i robi się ciepły dzień. Przed nami otwiera się przepiękna dolina. Wokół kopulaste wzgórza, porośnięte rzadką trawą, a na zboczach pasie się bydło. Stada są liczne, co najmniej kilkanaście sztuk każde. Na ścieżce zabity przez pumę koń. Nasze wierzchowce są mocno wystraszone. Padlina jest świeża. Gaucho twierdzi, że z tej nocy. Opanowujemy konie, ale obchodzimy zwłoki kilkunastometrowym półkolem.

Wjeżdżamy w szeroką dolinę z opuszczonymi zabudowaniami. Są też zniszczone ogrodzenia i mnóstwo bydła na okolicznych wzgórzach. Czas na lunch. Otwieramy puszki z tuńczykiem, chleb i zimna woda do popicia. Oprócz tego pomidory, a potem trochę słodczy.

Po półgodzinie podciągamy popręgi. Mamy za zadanie spędzić w dolinie poniżej wszystkie napotkane sztuki bydła. Wsiadam na mego Picassa i ruszam galopem w górę, aby objechać główne stado i nadać mu kierunek. Udaje się bez problemu. Picasso wie, o co chodzi. Około 20 sztuk podąża w dół a ja zygzakując kłusem kontroluję kierunek ich ruchu. Główne stado opanowane. Zajmujemy się teraz bydłem pasącym się na okolicznych wzgórzach. Na stoku przeciwległego pagórka widzę jeszcze kilka sztuk. Zjeżdżam szybko w dół. Konik kłusuje pomiędzy kamieniami ścieżką, którą mu wyznaczam, aby uniknąć największych stromizn. Zaczynamy się wspinać zlebem na zbocze i z niepokojem obserwuję stado i stojące tam 2 byczki. Oczami wyobraźni widzę, jak robimy z Picassem gwałtowny

zwrot i uciekamy galopem w dół przed szarżującym bykiem. Stado obserwuje nas uważnie, ale nie reaguje. Omijamy je i zawracamy. Ponaglę krowy krzykiem i cała grupa rusza w dół. Po drodze przyłączam inne sztuki, teraz prowadzę 12 krów. Bez większych kłopotów „spycham” je wszystkie do dużej doliny. Mamy tam już ponad 50 głów, porykujących, ale podążających w pożądanym kierunku. Nadjeżdża uśmiechnięty Kaczila z uniesionym kciukiem. Oglądamy się za siebie. Do licha, 3 sztuki stoją samotnie na „moim” wzgórzu. Nie zauważyłem ich. Trudno wracam. „Pchamy” stado jeszcze osiemset metrów w dół kolejnej doliny i tu je zostawiamy. Przepęd zakończony.

Na siedemnastą mamy dotrzeć do domu. Kaczila rezygnuje z okrężnego marszu dolinami i przecinamy kolejne wzgórza raz wspinając się, a raz zjeżdżając. Stromizny są spore, ścieżek nie ma żadnych, a Kaczila ciągle przyśpiesza. Coraz częściej kłusuje i galopuje, a my za nim. Dwie godziny takiej jazdy i docieramy do granicy zabudowań farmy. To był szaleńczy marsz.

Wieczorem przychodzą obaj gaucho Kaczila i Pablo (który opiekuje się kozami). Jest Chobi i Pablo-szef rozmawiamy oczywiście o koniach, kontynuujemy próby kolejnej butelki żołądkowej gorzkiej, wieczór miło się rozwija. Kaczila jeździ od piątego roku życia, ma 28 lat, mógłby pokazać kilka blizn będących konsekwencją ujeżdżania koni. Zazwyczaj trzy i pół roczne konie przyzwyczajają się do przyjmowania ogłowia, wędzidla i siodła, a potem ciężaru. Gaucho zawsze pracują przy tym we dwóch. Potem uczeń podąża za starszym koniem. Nauka zajmuje im około tygodnia. Jeśli jednak koń jest starszy, to czasami trzeba poświęcić więcej czasu. Nie muszą uczyć koni chodzenia po górach. One tam żyją na co dzień, a słabsze jednostki dawno padły łupem pumy. Chobi gra na gitarze i śpiewa razem z Pablem. Kaczila deklamuje „Balladę o wiernym psie”. Jemy chivito, czyli pieczone kozie mięso i pieczone na ruszcie plastry solonych ziemniaków, zagryzamy pieczonym chlebem i pijamy czerwonym winem. Pobrmiewają rytmy argentyńskiej muzyki.

Jutro krótszy dzień jazdy. Potem nauka posługiwania się boladerą i łukiem z konia. Żartują ze mnie, że najważniejsze to abym nie spętał nóg swojego konia, bo jak to zrobię, to będę musiał szybko uczyć się latać. W kominku wygasa ogień. Grubo po północy rozchodzimy się.

Kolejne śniadanie i znów jajecznica na boczku. Potem siodłamy i jedziemy. Dzisiaj nie będzie ładnej pogody. Brak wiatru i nisko zawieszony chmury. Już po czterdziestu minutach „jesteśmy w niebie”. Pięknie oszronione krzaki i przepływające obok obłoki dają niezapomniany widok. Sierść koni, grzywa, uszy i pyski pokrywają się szronem. Dzisiaj jadę na Chuzo. Kłęby pary buchają mi z pyska. Chwila odpoczynku bez schodzenia z siodeł. Mierzę liczbę oddechów Chuzo, wychodzi około 90. Po chwili ruszamy dalej. Marsz jest spokojny i tak wrócimy wcześniej. Obejrzelśmy pobliskie wzgórza otaczające farmę od zachodu i północy, po czterech godzinach zaczynamy schodzić. To pożegnanie z konnymi wycieczkami w Estancia Casa de Piedra.

Jutro zacznie się powrót. Najpierw do Buenos Aries, potem do Mediolanu i dalej do Polski.

Przerwa na lunch i zaczynamy zabawę. Strzelanie z łuku, rzucanie boladerą, na początku na stojąco. Idzie mi kiepsko, trzy kamienne, obleczone skórą kule, połączone czterometrowymi splecionymi sznurami, zamiast opleść słup przelatują obok. Po kilkunastu rzutach boli mnie ręka, a zaliczyłem dotąd tylko 2 przyzwoite trafienia. Trochę się poprawiam, ale już konie gotowe.

Wsiadam na gniadego wałacha, na którym przez pierwsze dwa dni jeździł Kaczila. Krótka jazda zapoznawcza, konik dobrze ułożony, ale jakby mu pozwolić chętnie skręciłby do zagrody. W nieco ostrej “rozmowie” ustaliśmy, kto tu rządzi. Wychodzi, że niby ja. Trochę kłusa, trochę galopu i biorę do ręki kule. Galop, rotacyjnym ruchem rozwijam sznur, biorę zamach i rzucam. Oczywiście kule mijają cel i lecą pod nogi stojącego dalej konia. Na

szczęście żadnych sensacji. Zsiadam, podnoszę i zwijam sznur – kolejna próba. Idzie mi sprawniej, na pięć prób trafiam tylko raz i robię jeszcze jedną udaną powtórkę do zdjęcia.

Teraz łuk, tego sprzętu gaucho nie używają, więc to zupełna zabawa. Pablo robi przejażdżki na drugim koniu, muszę uważać, aby go nie trafić. Pierwszym razem nie ma jednak obawy, strzała spada z cięciwy i zostaje mi w ręku. W końcu zaliczam sukces, wypuszczam strzałę i nikogo na szczęście nie trafiam – celu zresztą też nie.

Pablo wymyśla zabawy. Najpierw przepychamy się konno, potem ścigamy na dwustumetrowej prostej, jego koń jest jednak wolniejszy, punkt dla mnie. Przywozi jakąś plastikową obręcz i umawiamy się na wyścig na czas do obręczy i z powrotem. Chobi mierzy czas. Dystans około stu metrów w jedną stronę. Najpierw Pablo, próbuje ostro ruszyć galopem, ale jego koń rusza kłusem i dopiero po chwili przechodzi w galop. Teraz ja. Nie mam problemów ze startem, ruszam ostro, hamowanie i nawrót bez problemu. Koń ma około 145 cm w kłębie. Drugi złoty kartofel mój. Teraz utrudniamy zabawę. To samo, ale przy obręczy należy podnieść kamień. Oczywiście nie ma chętnych do robienia tego z siodła, więc trzeba zeskoczyć. Jadę bez strzemion, zeskakuję, podnoszę kamień, i ... biorę go w zęby nie tracąc, jak Pablo, czasu na upychanie do kieszeni. Wszystkie galopy robimy po kamienistym dnie wyschniętej rzeki. Dalej utrudniamy zabawę, a ja zbieram złote medale z kartofla. Kaczila dał mi dobrego konia o imieniu Castanirbo-chiko, a może i Pablo był uprzejmy dla gościa. Grunt, że wstydu nie przyniosłem.

Ostatni dzień. Już bez jazd konnych, ale także z przygodami. Pobudka planowana o siódmej rano. Budzę się nieco wcześniej, wstaję, światła nie ma. Wyciągam z mojego piżamodresu latarkę i maszeruję do toalety. Tam sytuacja się powtarza. Mój lekko zamrożony mózg załapuje. To kompletny brak światła. Jednak nie przypominam sobie, abyśmy podczas pożegnalnego party pili elektrolit z akumulatorów, więc chyba po prostu już wszystkie się rozładowały. Wracam do pokoju. Chobi informuje mnie o tym, o czym już wiem. Na dworze ciemno, w domu ciemno, a tu trzeba się pakować. Świece w pogotowiu i po chwili mam już jasność ... także co do pakowania. Śniadanie, czyli gorąca herbata i ciastko dla każdego. Tyle nam zostało z zapasów. Bagaże gotowe, pościel i śpiwory spakowane, wszystko ładujemy do landrowera.

Na dworze mrok i mgła. Dookoła unoszą się spaliny z rozgrzewanego silnika. Wreszcie o 7.45 opuszczamy „Dom z Kamienia”. Pablo włącza górne przeciwmgielne światła, ale na wybojach jeden z reflektorów opada. Poprawianie nic nie daje. W końcu wszystkie gasną, a my czujemy swąd nadtopionej izolacji. Na szczęście to dodatkowa instalacja i nie grozi nam awaria świateł. Posuwamy się powoli, zjeżdżając krętą, ciemną, mglistą, i kamienistą drogą. Około 8.15 rozjaśnia się, a potem oglądamy przepiękny wschód słońca. Chwilę później słońce już oślepia blaskiem, po mgle nie ma śladu. Po dziesiątej docieramy do Mendozy, drobne zakupy i na lotnisko. Pożegnalne zdjęcie przed wehikułem Pabla i rozstajemy się.

Jest jedenasta. Za półtorej godziny odlot, a potem hotel w Buenos Aires i porządna kąpiel w gorącej wodzie. Podchodzę do odprawy i rozczarowanie. Samolot jest opóźniony o cztery godziny. Dostaję obiadowy voucher pocieszenia i idę na piętro do restauracji. Mogę spokojnie pisać, kelnerowi też się nie spieszy. Ostatecznie opóźnienie wynosi siedem godzin – norma na argentyńskich liniach wewnętrznych. Dobrze, że lot do Europy będzie dopiero następnego dnia.